

Credo księdza Jana Kaczkowskiego (1977-2016)

Miliony Polaków pokochały go za wyrozumiałość dla słabości drugiego człowieka, wierność sobie, błyskotliwe poczucie humoru i determinację w walce ze śmiertelną chorobą.

Jak wyglądała relacja ks. Jana z Bogiem? Jakie wartości były mu najbliższe? Które fragmenty Ewangelii były dla niego najważniejsze? O czym opowiadał tłumom, które przychodziły na jego msze, a jakie słowa zachowywał dla pacjentów swojego hospicjum?

Grunt to twardo stąpać po ziemi, nie przestając patrzeć w niebo. Zamiast ciągle na coś czekać – zacznij żyć, właśnie dziś. Jest o wiele później, niż Ci się wydaje.

PRZECZYTAJ TAKŻE:



KS. JAN KACZKOWSKI W ROZMOWIE ŻYCIA

PONAD 200 000 SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY!

KUPIJĄC TĘ KSIĄŻKĘ, WSPIERASZ PUCKIE HOSPICJUM PW. ŚW. OJCA PIO
ZAŁOŻONE PRZEZ KSIĘDZA JANA KACZKOWSKIEGO

DEON.PL

ŻYCIE
DUCHOWE



wydawnictwo

MBP Cieszanów
Grunt pod nogami : ks. J...



0000028183

Grunt pod nogami Ks. Jan Kaczkowski nieco poważniej niż zwykle



WYDAWNICTWO WAM

**KS. JAN
KACZKOWSKI**

nieco
poważniej **niż zwykle**

**Grunt
pod
nogami**

Cud pełzający

Mistyki należy szukać w prozie dnia codziennego.

Pan Bóg jest bardzo delikatny, trzeba go czytać uważnie.

Ewangelia według św. Marka 5, 21-43

Gdy Jezus przepłynął się z powrotem w łodzi na drugi brzeg, zebrał się wielki tłum wokół Niego, a On był jeszcze nad jeziorem. Wtedy przyszedł jeden z przełożonych synagogi, imieniem Jair. Gdy Go ujrzał, upadł Mu do nóg i prosił usilnie: „Moja córeczka dogorywa, przyjdź i połóż na nią ręce, aby ocalała i żyła”. Poszedł więc z nim, a wielki tłum szedł za Nim i zewsząd Go ściskali.

A pewna kobieta od dwunastu lat cierpiała na upływ krwi. Wiele przecierpiała od różnych lekarzy i całe swe mienie wydała, a nic jej nie pomogło, lecz miała się jeszcze gorzej. Słyszała ona o Jezusie, więc przysłała od tyłu, między tłumem, i dotknęła się Jego płaszczka. Mówiła bowiem: „Żebym się choć Jego płaszczka dotknęła, a będę zdrowa”. Zaraz też ustał jej krwotok i poczuła w ciele, że jest uzdrowiona z dolegliwości. A Jezus natychmiast uświadomił sobie, że moc wyszła od Niego. Obrócił się w tłumie i zapytał: „Kto się dotknął mojego płaszczka?” Odpowiedzieli Mu uczniowie: „Widzisz, że tłum zewsząd Cię ściska, a pytasz: Kto się Mnie dotknął?” On jednak rozglądał się, by ujrzeć tę, która to uczyniła. Wtedy kobieta przysłała załęknioma i drżąca, gdyż wiedziała, co się z nią stało, upadła przed Nim i wyznała Mu całą prawdę. On zaś rzekł do niej: „Córko, twoja wiara cię ocaliła, idź w pokoju i bądź uzdrowiona ze swej dolegliwości”. Gdy On jeszcze mówił, przyszli ludzie od przełożonego synagogi i donieśli: „Twoja córka umarła, czemu jeszcze trudzisz Nauczyciela?” Lecz Jezus słysząc, co mówiono, rzekł przełożonemu synagogi: „Nie bój się, wierz tylko”. I nie pozwolił nikomu iść z sobą z wyjątkiem Piotra, Jakuba i Jana, brata Jakubowego. Tak przyszli do domu przełożonego synagogi. Wobec zamieszania, płaczu i głośnego zawodzenia, wszedł i rzekł do nich: „Czemu robicie zgłęb i płaczecie? Dziecko nie umarło, tylko śpi”. I wyśmiewali Go. Lecz On odsunął wszystkich, wziął z sobą tylko ojca, matkę dziecka oraz tych, którzy z Nim byli, i wszedł tam, gdzie dziecko leżało. Ująwszy dziewczynkę za rękę, rzekł do niej: „Talitha kum”, to znaczy: „Dziewczynko, mówię ci, wstań”. Dziewczynka natychmiast wstała i chodziła, miała bowiem dwanaście lat. I osłupieli wprost ze zdumienia. Przykazał im też z naciskiem, żeby nikt o tym nie wiedział, i polecił, aby jej dano jeść.

Kochani!

Niezwykle ciekawe jest to przeciwstawienie dwóch cudów w dzisiejszej Ewangelii. Pierwszy jest delikatny, właściwie przechodzi niezauważony. Wiedziała o nim tylko uzdrowiona z krwotoku kobieta i Chrystus. A drugi – wskrzeszenie córki Jaira – jest spektakularny. Często domagamy się od Boga takich spektakularnych cudów. Zastanówmy się nad nimi. Wiele osób napiera na mnie, mówiąc: „Proszę księdza, proszę koniecznie jeździć na Msze Święte z modlitwą o uzdrowienie”. To miałyby spowodować uzdrowienie tej mojej czachy przeżartej przez glejaka. A ja z zasady nie jeżdżę, ponieważ nie chcę Pana Boga do niczego zmuszać. Ilekroć uczestniczyłem (jako spowiednik) w takich mszach, to one mi przypominały seanse nakręcania emocjonalnego.

Gdybym chciał państwem manipulować, to nagnałbym do kościoła mnóstwo chorych ludzi i powiedział: „Zamknijcie oczy. Jest wśród was osoba chora na kręgosłup [statystycznie by się znalazła]. Teraz czujesz ciepło [ktoś by poczuł ciepło], itd.”. Takie działania mogą być manipulacją. Nie przeczę, że w Kościele działają charyzmaty uzdrawiania, prorokowania, przemawiania. Ale, na litość Boską, nie na zawołanie, we wspólnocie x, y czy z.

O wiele bliższa jest mi postawa tej kobiety, która dotknęła frędzli płaszczka Chrystusa. Bo ją uzdrowiła jej wiara – Jezus jej to powiedział. I chyba o to chodzi w chorowaniu. Powołałam się na własne doświadczenie. Na początku choroby popełniłem pewien błąd, ale przecież też mam prawo się rozwijać i dojrzewać jako ksiądz. Mówiłem: „Panie

Boże, jestem otwarty na cud”, ale nie do końca w ten cud wierzyłem. Pewnego dnia zrozumiałem na nowo fragment Ewangelii: „Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam”. Wtedy uznałem, że jestem bezczelny, jedynie deklarując otwartość. Zacząłem więc kołatać, prosić. Ale przysięgam – bez przywiązania do efektu. Co to oznacza? Że mam nadzieję, ale wyrobiłem w sobie taką przestrzeń wolności, że nie będę zawiedziony, jeśli cud się nie dokona albo jeśli dokona się zupełnie inaczej, niż bym sobie wyobrażał.

Miałem dwa momenty w życiu, kiedy musiałem z wielkim wysiłkiem intelektualnym i duchowym powiedzieć: „Panie Boże, całkowicie zgadzam się z panowaniem Twojej woli”. Pierwszy: gdy nie chciano mnie wyświęcić na księdza i decyzja o tym wisiała na włosku. Klęczę w kaplicy w seminarium przed Najświętszym Sakramentem, na górze ważą się moje losy, wielcy tego świata dyskutują – święcić czy nie święcić, będzie ośmieszeniem kapłaństwa czy nie? A ja wpatrzony w Najświętszy Sakrament, przekonany na poziomie pewności moralnej, że jestem powołany... Pewność moralna to jest coś innego niż pewność scjencystyczna, że mogę, na przykład, tej chłodnej ambony dotknąć. Pewność moralną wyrabiamy sobie w serduchu, w sumieniu. Jesteśmy przeświadczeni, że to jest nasza droga. Kiedy mnie wyświęcili, taką pewność miałem. Teraz, dzięki Bogu, nadal ją mam. Cały czas to bycie księdzem jest dla mnie sednem życia. Ale wracając do głównego wątku: wtedy wpatrując się w Chrystusa w Eucharystii, smuciłem się i mówiłem: „Panie Boże, nie mam wpływu na to, co

wymyślą, całkowicie poddaję się panowaniu Twojej woli”. Wiedziałem, że jeżeli mnie nie wyświęcą, to nie założę swojego Kościoła, nie obrażę się, nie będę tupał na Boga.

Druga próba przyszła, gdy dowiedziałem się o którejś tam wznowie. Bo w tej chorobie jest tak: raz lepiej, raz gorzej, potem jest wznowa, potem trochę remisji, jakieś działania medyczne. Kiedy jesienią zeszłego roku zdiagnozowano u mnie kolejną wznowę, byłem smutny, ale się jakoś potwornie nie załamalem. Pamięta się każdy moment po usłyszeniu takiej informacji. Wsiadłem w Krakowie do jakiejś śmierdzącej taksówki i myślę: „Całkowicie zgadzam się z panowaniem Twojej woli. Wszystko jedno, czy to życie będzie trwało trzy, cztery miesiące czy pół roku”. Trwa dłużej, niż wtedy sądziłem.

Tamtego dnia, po usłyszeniu niepomysłnej wiadomości, wszedłem pod prysznic i w radiu usłyszałem piosenkę zespołu Raz Dwa Trzy: „I żyłem tak, jak chciałem żyć. I byłem tym, kim chciałem być”. Dla mnie to była delikatna odpowiedź Pana Boga na tę moją modlitwę, że poddaję się Jego panowaniu. On mi odpowiedział przez radio. Możecie powiedzieć, że wariat ze mnie, ale tak to odczytuję. Mistyki należy szukać w prozie dnia codziennego. Pan Bóg jest bardzo delikatny, trzeba go czytać uważnie.

To, co się dzieje w tej mojej bańce, w mojej głowie, uważam za cud pelzający. Dokładnie taki, jakiego doświadczyła kobieta uleczona przez Chrystusa z krwotoku. Można powiedzieć, że pelzniemy sobie we trójkę: Pan Bóg, gļejak i ja. I oby jak najdalej. Cieszę się z tego pelzającego cudu. Dlaczego? Ponieważ gdyby Pan Bóg potrzebował cudu

spektakularnego dla zbawienia mojego, innych ludzi lub – jak to się ładnie w dawnym języku mówiło – ku pożytkowi Kościoła świętego, to On by go dokonał. Widać taki spektakularny cud jest Mu niepotrzebny na razie. Może jutro się obudzę i okaże się, że jestem wolny od choroby. Bardzo się ucieszę. Ale Pan Bóg działa poprzez naturę, stworzył ją i bardzo rzadko łamie jej prawa. Może uda się tak spokojnie, normalnie, medycznie wyzdrowieć? A może nie? To już Jego wola.

Najważniejsze już się dokonało – dostrzegłem, że wraz z chorobą nic się nie skończyło, a wiele rzeczy się zaczęło. To, co najpiękniejsze, to, co cudowne, dzieje się bardzo intymnie. Uświadamia to uzdrowienie kobiety z krwotoku, o którym wiedziała tylko ona i Chrystus.

Być może to, że zostałem księdzem, że ileś lat pracowałem w szkole, że zrobiłem doktorat i specjalizację z bioetyki, nawet to, że wybudowałem hospicjum i że je prowadzę, nie było tak istotne jak to, że zachorowałem. „Moc w słabości się doskonali”. Skoro św. Paweł w swojej słabości zobaczył wartość, to może ja wtedy, kiedy będę już nieprzytomny, będę w stanie otworzyć innych na jakiś ważny wymiar? Może moja bezbronność, której do tej pory tak się bałem, okaże się pięknem, które będę mógł innym ofiarować? Może ktoś będzie miał szansę uszanować we mnie, nieprzytomnym księdzu Janie Kaczkowskim, bo tak się przeważnie kończy glejaki, człowieczeństwo? I otworzę go w ten sposób na dobro. Będzie mógł też w swojej wolności tym moim człowieczeństwem pogardzić. Wolna wola. To jest jedna z moich lekcji dojrzenia.

Pochwaliłem się rozwojem duchowym, a teraz chciałbym państwa zachęcić do życia na pełnej petardzie. W każdym wymiarze. Żebyście się nie załamywali, czerpali z tego życia obficie. W liście Pawłowym mamy fragment: „Nie o to bowiem idzie, aby sprawić ulgę innym, a sobie udręczenie, lecz aby była równość. Nie miał za wiele ten, kto miał dużo. I nie miał za mało ten, który miał niewiele”. Co to oznacza? Że kiedy służymy naszym braciom, nie powinniśmy być cierpiętnikami, ze skwaszoną miną. Wymieniamy się dobrami – finansowymi i duchowymi.

„Teraz zatem niech wasz dostatek przyjdzie z pomocą potrzebom innych, aby ich bogactwo było wam pomocne w waszych niedostatkach”. Chodzi o to, by w życiu była pewna równowaga, pewien balans. Żebyśmy nie wpadali z jednej strony w jakąś potworną rozpacz, kiedy coś jest przeciwko nam, ani w euforię, kiedy nam się wszystko udaje. Bo może przyjsć taki moment, że w ciągu chwili to się zmieni.

Mimo różnych przeciwności powinniśmy życzliwie żyć dla innych. To szczęście, które w nas bywa, musi promieniować na zewnątrz. Nie dajmy się zmaltretować kłopotom.

Tych smutnych z was zapytam: dlaczego to nie może być taka zwykła niedziela, w którą postanowicie, że wasze życie się zmieni? Może to dzisiaj powinienem wystartować na nowo. Uwierzyć w siebie, swoje możliwości.

Kilka razy w życiu miałem momenty delikatnego doknięcia łaski. Raz w seminarium wchodzę do pustej katedry oliwskiej, klękam gdzieś z boku przy tabernakulum i nagle, nie wiadomo dlaczego, czuję ogromny przyływ

bliskości z Panem Bogiem. Pamiętam, że to był zwykły wtorek, najzwyklejszy. Czasem do tego doświadczenia wracam, zwłaszcza kiedy odprawiam Mszę Świętą codzienną. Pytam siebie: dlaczego akurat ten wtorek, dlaczego akurat to niedzielne popołudnie nie jest tym momentem przełomowym? Może się umówmy z naszym życiem, przecież jesteśmy sprawczy, że dzisiejszy dzień to życie zmieni. I to w pozytywny sensie.

Nie męczmy się nawzajem skrzywionymi minami, korzystajmy z tego, co daje świat. Bierzemy teraz udział w kulcie Bożym, a z tego, co wiem, wieczorem będzie koncert zespołu Kult. Jedno z drugim można idealnie połączyć. Cieszymy się tym, co nam Pan Bóg daje. Bądźmy dla siebie dobrzy. Nie martwmy się, kiedy mamy za dużo, ale też nie martwmy się, kiedy mamy za mało. Bądźmy otwarci na wymianę. Czasem może być tak, że kiedy mamy więcej pieniędzy, podzielimy się z kimś. Nie jesteśmy do tego zobowiązani, ale mamy takie moralne przynaglenie. Wtedy ci, którzy są w gorszej sytuacji finansowej, ale na przykład mają więcej duchowo, kiedy będziemy potrzebować, w ramach wyrównania, nam to oddadzą.

I tak jak mówiło to drugie czytanie: nie o to chodzi, żeby pomagać innym i żyć w utrapieniu, w nieustannej męce, ale żeby być dla innych z radością. Proszę ucieszyć się z tego, co jest dobre w waszych rodzinach: z miłości, bliskości. A jeżeli jest coś złego, to spróbujcie to zmienić już dzisiaj, nie czekając na jutro.

Tak bardzo bym chciał się starzeć pogodnie, jeżeli to mi będzie w ogóle dane. Chciałbym się starzeć na takiego

dobrego ojca, ciepłego dziadka. Chciałbym, żeby takie było moje może nie dziadostwo duchowe, ale ojcostwo duchowe. Żebym innych przyciągał do siebie.

Widzę tam, zdaje się, siostry zakonne, w większej grupie. Zatem, drogie siostry, tak bym chciał, żebyście były duchowymi matkami, żebyście się nie bały swojego macierzyństwa. No bo my możemy się starzeć jako księża na starych, zgryźliwych kawalerów, do których się nie da podejść, skupiających się na tym kubku, który jak zostanie przez kogoś ruszony, to nastąpi koniec świata. Ale możemy się starzeć na ojców. I, drogie siostry, przy całym szacunku dla waszego powołania, chciałbym, żebyście pracowały nad sobą. Żebyście się stawały matkami, takimi ciepłymi babciami w duchowym sensie. Wiem, że w związku z byciem kobietą jest to dla was trudniejsze na poziomie nawet biologicznym, ale jest możliwe. Bo przecież to jest odpychające, gdy spotykamy osobę zakonną, która zachowuje się jak stara, zgryźliwa ciotka. Pilnujcie siebie we wspólnotach, abyście po prostu, kochane, nie zgorzkniały.

„Bóg nie uczynił śmierci i nie cieszy się ze zguby żyjących. Stworzył bowiem wszystko po to, aby było, i byty tego świata niosą zdrowie”, czyli żeby to wszystko, co mamy wokół siebie, przynosiło nam radość. To, co nam się w życiu przydarza: piękna przyroda, wspaniała pogoda, miłość między nami – jest przez Boga zamierzone i chciane. Ceńmy to, co mamy. Pan Bóg w dzisiejszym czytaniu mówi: obfitujcie we wszystko, w wiarę, w mowę, w gorliwość, w miłość.

Choroba nie zwalnia z pogody ducha. Przysięgam, że nie zmuszam się do bycia uśmiechniętym. Bo bardzo lubię ludzi. Nie chciałbym, żeby wchodzili do mojej zakrystii na ugiętych nogach, a wychodzili, mówiąc: „Uff, ludzki pan. Tylko ochrzanił, a mógł zabić”. Tak wybiórczo słuchamy papieża Franciszka, a on apeluje: „przewietrzcie wasze duszne zakrystie”. Czasem w Polsce bywają takie miejsca, gdzie ludzie się boją swoich duszpasterzy. Nie bójcie się, wymagajcie od nich.

Teraz przejdę do podtytułu książki „Życie na pełnej pe-
tardzie”, którą możecie dziś nabyć. A brzmi on: „wiara, polędwica i miłość”. Co za obrazoburca. Chciałoby się powiedzieć: Kaczkowski, znowu prowokujesz. Zamieniasz piękną teologalną cnotę nadziei na jakiś obrzydliwy kawał mięsa. Jak każdy teolog dorobię do tego natychmiast teologię. Otóż wiara skończy się, kiedy stanie się wiedzą. Miłość zawsze pozostanie tą największą, w której zjednoczymy się z Panem Bogiem. I będzie trwała zawsze, jak mówi św. Paweł. Nadzieja, kiedy się spełni, przestanie być potrzebna. A teraz powiem trochę o polędwicy. Może nie wyglądam, ale jestem smakoszem. W rozmaitych smakach możemy czuć Pana Boga. Kawalek porządnej polędwicy wołowej, ucięty zgodnie z włóknami, wrzucamy na bardzo rozgrzaną patelnię, do tego sos serowy roquefort albo pieprzowy, jak ktoś woli, to może też masło czosnkowe. Ta polędwica powinna być taka medium red, czyli półkrwista w kierunku krwista. Powiecie: ohyda. Nic podobnego. To jest pyszne! Kroimy kawałeczek, łączymy z sosikiem, bierzemy do ust, mamy do tego czerwone,

wytrawne wino, takie Rioja. Nie pijemy go oczywiście duszkiem, ale pomalutku. Wtedy czujemy ambrozię. Ja mam wtedy odloty mistyczne. Jestem przekonany, że Pan Bóg istnieje, skoro dał nam takie możliwości patrzenia na przyrodę, poznawania smaków i doświadczania piękna. Cieszymy się dzisiejszym dniem. Amen.